

Anna Orłowska

Sankt Anna

Gdy przyjechaliśmy, wszystko tu było pokryte śniegiem. Zeszliśmy z góry w kierunku lasu. Patrzyłam, jak z wydeptywanego przez nas puchu wyłania się ścieżka odsłaniając kostki bazaltu. Za starych czasów surowiec ten wydobywany był nieopodal. Została po nim wielka dziura, którą zamieniono w religijną Grotę Lurdzką. By utrzymać jej ciężar, zbudowano wielki, bazaltowy mur. Potrzebny surowiec z trudem wnoszono pod górę z nieodległych pól i miejscowości. I tak oto kamień powrócił, lecz jako kopalny transfer, fundament ludzkiego rozwoju.

Jesteśmy na drodze do innego, wyłączonego z użytkowania kamieniołomu wapienia. Powstawał z muszli i jest pełen ich śladów. Patrzymy na stojącą obok tablicę. Skąta tkwi w tym miejscu co najmniej 200 milionów lat. Mniej więcej wtedy rozpadał się superkontynent Pangea. A teraz stoimy tu my, naprzeciw tej ściany, łapiemy orientację. Właśnie zaczyna się nasza wędrówka na zagadkową Sankt Annaberg. Naszą przewodniczką jest Anna Orłowska.

O takich regionach i miejscach mówi się, że to „terytoria historii”. Są dobrze rozpoznane i mają wielu znawców. Trudno jednak wyrazić pokrótce ich idiomy. Te przedziwne sploty okoliczności i niuansów, o których niczego nie ma w podręcznikach. Podobnie jest z Górą Świętej Anny, którą można rozszyfrowywać na wiele sposobów i nigdy nie uchwycić jej sensu. Ten wygaśnięty wulkan musiał pełnić symboliczną funkcję dla żyjących tu na początku ludzi, a jednak nie został odkryty po nich żaden ślad. Później, od wieków średnich, krzyżowały się tu ścieżki pielgrzymów, którzy ze wschodu, m.in. z Kijowa, szli tędy do grobu św. Jakuba w Santiago de Compostela. Miejsce zaczęło się rozwijać i dużo się wtedy tutaj zmieniło.

Dodatkowo, pod koniec średniowiecza, pojawiła się w tym miejscu niewielka drewniana figurka świętej Anny, której kult z czasem przykrył inne lokalne wierzenia. Stoi w sanktuarium na szczycie góry i jest przedmiotem przedziwnych praktyk, których częścią jest odziewanie jej w strojne suknie, różne ze względu na liturgiczny kalendarz. W rękach trzyma dwoje niemowląt – swoją córkę Marię i jej syna Jezusa. Ubrana – przypomina smoczyce z trzema głowami. Babka, matka i dziecko w jednej osobie, przedziwna figura symbolizująca cykl wymiany pokoleń. Ucieleśnienie niewidzialnej pracy reprodukcyjnej, o której wciąż wiadomo niewiele, choć tworzy rzeczywisty fundament dla wszystkiego, co dzieje się na świecie.

Mówią, że od wieków zdarzają się tu cuda, również za sprawą figury, nazywanej tu często obrazem. Wprawdzie obrabowano ją z magicznych relikwii, ale to nie przeszkodziło w uzdrowieniach. Często powracają opowieści o odzyskaniu wzroku, co dziwnie rymuje się z życiem codziennym góry, tak przekształconej, by tworzyła scenografię rozmaitych spektakli wiary i władzy. Na skraju odkrytki wapienia wyłania się stary amfiteatr, nawiązujący do dawnych miejsc germańskich kultów Thingplatz – maszyna propagandowa III Rzeszy dla 50 tysięcy osób. Już wtedy, gdy powstawał, należał do starego świata – na chwilę przed wybuchem radia i filmu, nowych narzędzi do wprowadzania tłumów w stan przypominający hipnozę. Tu spektakle odbywały się analogowo, przy naturalnej akustyce. Rozmawiamy o starym zdjęciu dokumentującym trybuny pełne nazistów.

Po wojnie repertuar amfiteatru nadpisał się festynami i zabawami organizowanymi tu między innymi przez

okoliczne zakłady pracy. Podobno kręcą się tu czasem zbiry, szukając swojego miejsca mocy. Wydaje się, że przyroda powoli odzyskuje ten teren dla siebie. Nikt tu nie czuje się odpowiedzialny za ten wielki ślad, przypominający z lotu ptaka rysunek linii papilarnych człowieka. Złowieszcza, nazistowska krypta na szczycie skały została wysadzona w powietrze w pierwszym powojennym odruchu. Skrywała ekshumowane szczątki walczących po stronie niemieckiej przeciwników śląskich powstańców. A potem zastąpiono ją surową bryłą pomnika poświęconego śląskim powstańcom identyfikującym się ze stroną polską. Potężny fundament wypełnia przestrzeń dawnego mauzoleum wykutego w skale przez nazistów. Wśród bohaterów pomnika widzimy matkę z dzieckiem na ręku – symbol reprodukcji, ale pozbawiony figury babki, a przez to odłączony od linii swoich przodków.

Śląski skarb, panorama regionu, wygasły wulkan, święte miejsce katolików, terytorium powstania, przestrzeń spektaklu. Można długo wymieniać oblicza i niuanse istoty Góry Świętej Anny. Imienniczka świętej – Anna Orłowska splata ze skomplikowaną historią tego miejsca intymne i rodzinne wątki.

Seria Sankt Anna obejmuje dwa plany. Pierwszy odnosi się do góry, jej bogatej kultury materialnej i duchowej, splatającej sprzeczne porządki symboliczne; drugi jest planem rodzinnym, reprezentowanym głównie przez najbliższą artystce linię żeńską. W tej części Orłowska sięga też do domowych archiwów, a wybrane zdjęcia przenosi na fotograficzne obiekty, poddając je jednocześnie różnym czynnościom: rozcinania i zszywania, krochmalenia czy farbowania w pobliskim źródle o ogromnym stężeniu żelaza.

Szczególne miejsce w tym symbolicznym porządku

pełni figurka matrony, Świętej Anny Samotrzeciej, niewidoczna na żadnym ze zdjęć, a jednak rezonująca z całością serii. To archetyp babki, wymiany pokoleń, kobiecej siły obliczonej na perspektywę długiego trwania. Ale też przemijania, niewidzialnej pracy reprodukcyjnej, czułości i wiedzy wyniesionej z doświadczenia. O św. Annie wiadomo tylko z apokryfów pochodzących z czasów wczesnochrześcijańskiego podziemia. Na Śląsku otoczona jest wielowiekowym kultem, czego wyrazem są specyficzne obrzędy na poświęconej jej górze, takie jak koronowanie czy ubieranie w suknie. Orłowska przejmując ten gest i część swoich prac ubiera w tkaniny wykonane przez kobiety z lokalnej społeczności. Tworzy białe, odświętne, półprzeźroczyste sukienki, rekwizyty dla rytuałów przejścia. Przebija przez nie obraz, a ich rola jest wieloznaczna. Kontrola spojrzenia przyjmuje tu subtelną formę osłony, która – podobnie jak firanka – może być zarówno wytworną dekoracją, sposobem ochrony przed natrętnym spojrzeniem, a także doskonalym, poufny punktem obserwacyjnym.

Historia góry i osobiste motywy splatają się w jedną opowieść, która rozciąga się poza linearnym czasem. Jesteśmy na terytorium, gdzie tablice drogowe w dwóch językach, polskim i niemieckim, wyznaczają jego spektrum. Tożsamość tego terenu to bowiem specyficzny gradient. Tworzą go wydarzenia zapisane na kartach historii, lecz również dyskretne mikrohistorie, realizujące się w planie codziennego życia mieszkańców, którzy od pokoleń zamieszkują ten obszar. Z ich przecięcia wytrącają się nowe obrazy i połączenia, które układają się w kontinuum. W nim zaś zawiera się idiom tego miejsca.

Katarzyna Roj